

Siedem dni,
które wstrząsnęły
pocimem



czyli spór o dwór

Maria Teresa
Piętrzak

Maria Teresa
Pietrzak

Siedem dni,
które wstrząsnęły
Pcimiem
czyli spór o Dwór

© Copyright by Maria Teresa Pietrzak & e-bookowo
Projekt okładki: e-bookowo
ISBN 978-83-7859-068-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Patronat medialny:

Twojakultura.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2012

*Wszelkie skojarzenia uważam za głupie i nieuzasadnione.
Wystarczy, że mnie się kojarzy!*

[Kup książkę](#)

W 1980 roku napisałam nowelkę pt: „Ki diabeł” i już w roku następnym wysłałam ją, zwykłym listem do Marcina Wolskiego, na adres radiowej „Trójki” z prośbą o opinię. Niestety, odpowiedzi nie doczekałam się nigdy. Jednak, po pewnym czasie, w „Powtórce z rozrywki” rozpoczęto prezentację najnowszej powieści Marcina Wolskiego pt: „Agent dołu”. Kiedy usłyszałam jej początek, aż mnie zatkało. Słuchałam i nie wierzyłam własnym uszom!

I jest to jedyna powieść tego autora, którą kupiłam, by przeczytać, by się upewnić, że nie zwariowałam.

Chyba w 1999 roku, również na adres „Trójki”, na Artura Andrusa wysłałam „Siedem dni, które wstrząsnęły Pcimiem”, tym razem jednak listem poleconym. Nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Teraz jednak postanowiłam nie odpuścić. W 2000 roku napisałam pierwszy list do pana Andrusa z prośbą o zwrot rękopisu. Cisza. W 2001 kolejny list powędrował do Warszawy. Nadal zero odpowiedzi. W końcu zdenerwowałam się i napisałam list do redaktora naczelnego, wtedy dopiero nastąpiła reakcja. A oto odpowiedź Artura Andrusa:

Warszawa 30 V 2002

Szanowna Pani Mario!

Do pisania tego listu zabieram się z dużym zawstydzeniem. Winię jestem Pani przeprosiny. Przepraszam, że tak długo czekała Pani na odzyskanie swojej własności. Kiedy dostał do mnie list z 17 XI po prostu ośmielałem. Dawno temu poprosiłem o odebranie tego z zeszytu jednego z kolegów. Byłem pewien, że sprawa jest załatwiona. Myliłem się. A poza tym, to nie jest żadne usprawiedliwienie. Zatem jeszcze raz przepraszam.

W chwili kiedy dostała do mnie Pani przesылkę nie mogłem się uia, zajęć. Poprosiłem o przesылanie osoby, która mogła moim zdaniem obiektywnie się wypowiedzieć na temat przydatności tego tekstu dla naszych radiowych potrzeb. Otrzymałem odpowiedź, że raczej nie mamy możliwości pykowania Pani powieści, że być może mogłoby być zainteresowane jakies wydawnictwo. Przeczytałem jeszcze raz sam. Przeczam, że nie jestem fachowcem i nie wzię się upoważniony do oceniania (a nawet tego nie lubię) ale tekst odebrałem pozytywnie. Może rozaynisic powinna Pani oddać to pod ocenę komus, kto zajmuje się wydawaniem takich rzeczy.

J tak oto będąc pewnym, że sprawa jest dawno załatwiona, zająłem się etosem innych. Aż tu nagle ten list... Okazało się, że zeszyt leży na polce...

Pani Mario! Jeszcze raz proszę o wybaczenie. To nie lekceważenie - to moja nieumaga / albo bałaganiarstwo? /
Pozdrawiam.

St. J. 7

P.S. Mam nadzieję, że doobny upominek, który dotarzan do tej przesылki przynajmniej trochę poprawi moją zaszerepą reputację.

07. 01. 03r.

Szanowny Panie Arturze!

Przesyłam Panu serdeczne pozdrowienia w rozpoczynającym się właśnie Nowym Roku oraz spieszę poinformować, że zwracam Panu Honor, przez duże Ha! Wraz z nastaniem Nowego Roku wszystko zostało Panu odpuszczone!

Przesyłka, którą dzisiaj otrzymałam przywróciła mi wiarę w człowieka. I nie ze względu na prezent, za który serdecznie dziękuję (pozwoli Pan, że potraktuję go jako urodzinowy, gdyż w tym dniu została nadana przesyłka), ale ze względu na zwrot mojego rękopisu.

Nareszcie nie będę cierpiała oglądając programy, w których Pan występuje, bo dotąd sama przed sobą musiałam udawać, że wcale nie bawią mnie Pana dowcipy. Ja w zasadzie bardzo rzadko się obrażam, ale, jak już się obrażę, to ho! ho! I właśnie na Pana, tak ho! ho! I było mi z tym bardzo ciężko, zwłaszcza że, co jakiś czas musiałam Pana oglądać w telewizji, a wiadomo: co z oczu, to i z serca. A Pan, ani z oczu, ani z serca!

Dzisiaj odzyskałam spokój ducha. Dziękuję!

*Serdecznie Pana pozdrawiam
Maria Teresa Pietrzak*



Przez wieki, przez stulecia
Idzie człowiek przez świat.
Depcze trawę i kwiecie,
Krwawy zostawia ślad.
Ciężka człowieka dola,
Wędrówka pełna trudu,
Ginie wszystko dokoła
Pod nogą i ręką ludu.
Od chwili narodzenia,
Aż po cmentarną toń
Kolejne pokolenia
Wciąż ulepszają broń.
I jakby tego mało,
W zaciszu swoich miast,
Wciąż się zastanawiają,
Jak sprawniej niszczyć Świat?!

Człowieku! Stań i myśl!
Wszak jesteś Homo sapiens.
Więc niechaj już od dziś
Z rąk twoich krew nie kapie.
Pozostaw ojców dzieciom
I matkom daj wytchnienie.
Niech, dzięki twym zabiegom
Szczęśliwe rośnie pokolenie!

Legant prius et postea despiciant



Dzień Pierwszy

Pcimskie Gospodarstwo Rolnicze

Dzień piękny i nowy do życia powstawał. Zaspane jeszcze słońce, leniwie i z niejakim ociąganiem wychylało swą złotą głowę zza chmur, co i rusz za jakąś, białą i puszystą chmurką na powrót się skrywając. Nareszcie, w poczuciu obowiązku, a może więcej z przyzwyczajenia, boć przecie od milionów lat codziennie i bez niejkiej przerwy robiło to samo, wynurzyło się zza puchatej chmury i roziskrzyło, rozświeciło niebo nad Pcimskim Gospodarstwem Rolniczym.

Piękna to była wioska, chociaż niewielka. Ale skromne jej rozmiary nikomu nie wadziły. Przeciwnie wprost, wszystkim odpowiadała atmosfera ciepła i przytulności, jaką odczuwało się w tym tak maleńkim zakątku kraju.

Z czterech stron, jak murem obronnym otoczone było gospodarstwo pięknym lasem iglasto-liściastym, zwanym pospolicie mieszanym.

Wzdłuż, przez całą wieś, jak długa, jasna wstęga biegła wąska droga, całe Pcimskie Gospodarstwo Rolnicze na dwie połowy rozdzielając. Wychodziła z lasu po wschodniej stronie, chyłkiem przez wieś przemykała, po czym wpadała zadyszana do lasu po stronie zachodniej, ginąc w mroku między drzewami.

Jeżeli na równi z drogą wędrówkę swą rozpoczniemy, ze wschodu na zachód zmierzając najsamprzód posterunek Straży Wiejskiej spotkamy, wraz z przyległym do niego więzieniem. Posterunek jest nieduży, więzienie również, jednak ludzi w wiosce nie mieszka nazbyt dużo, więc i przestępców zbyt

wielu nie ma. Obok poczta, także rozmiarów niewielkich, ale też nikomu większa nie jest potrzebna.

Sklepić gminny, czystą i estetyczną wystawą przechodnia wabi, kusi by choć na chwilę do środka wstąpił, spojrzął na półki puste, pięknie wyczyszczone i zadumał się przez czas niedługi nad nietrwałością produktów rękami człowieka wykonanych, nad ich ulotnością i przemijaniem...

Ale jeno po stronie lewej czysto i estetycznie na półkach wygląda. Prawica zaś cała, zapchana towarami po samą powagę, nieobyczajnie wzrok ludzki przyciąga barwami wszelakimi i cudacznymi opakowań kształtami. Jak panna obyczajów lekkich, która swe wszystkie wdzięki na wierzchu trzyma, by przechodzących mimo mężczyzn skusić i do grzechu nakłonić, tak i ta połowa sklepu, „Peweksem” wedle obcej mody nazywana, kusi i nęci, by chociaż okiem rzucić na nią. Szczęściem wielkim ludzie w Pcimskim Gospodarstwie uczciwi, pieniędzy dużo nie mają, więc na tę stronę sklepu z rzadka jeno zagląдают.

W pobliżu sklepu, w niewielkim jego oddaleniu kościółek drewniany się znajduje. Przygarbiony, pochylony ku ziemi, jak gdyby kłaniał się wiernym, którzy zawsze z niejakim ociąganiem na mszę niedzielą przychodzą. Kościółek ten w jedno połączony został z równie niedużą plebanią, gdzie ksiądz Rabka, wraz ze swą gospodynią rządy sprawuje.

A tuż obok, dla pokrzepienia ciała wiernych z kościoła wychodzących karczma pyszni się i rozpycha. Chociaż nieduża, dumna jest i bardzo pewna siebie. Z wyższością na kościół spogląda, boć parafianie częściej do niej, aniżeli do pobliskiego kościoła zachodzą. Wszak to tutaj odbywają się największe dysputy polityczne, o przyszłości świata i Pcimskiego Gospodarstwa Rolniczego traktujące. Tutaj też, przy kuflu przedniego piwa, lub szklanicy gorzały najlepszej największe spory bywają łagodzone i rozstrzygane. Tu stary Michał rej wiedzie i rozmowom wszelakim przewodniczy. Nie masz w gospodarstwie



miejsca ważniejszego nad tę karczmą z belek zbudowaną, przez czas poczernioną i mchem gdzieniedzie zarosniętą.

Dalej jest sad. Niegdyś piękny i bogaty. Drzewa owocowe, szlachetnych gatunków o dawnej jego świetności świadectwo dawają. Dziś nieco zaniedbany, bo nikt czasu i ochoty nie ma, by się nim zajmować. Zaś w głębi sadu dom stoi. Nie nowy już, ale ciągle dobrze się trzymający. W domu tym Sobol zamieszkuje, człowiek ważny wielce i wiele znaczący. Kiedyś sędzią miejscowym był. Dziś, gdy sędzić już nie ma kogo, zarząd nad Pcimskim Gospodarstwem Rolniczym przejął i rządzi nim wedle własnego uznania.

A tuż obok sadu mur stoi dziurawy, z ceglami pokruszonymi lub powyjmowanymi rękami pcimskich rolników. Mur ów okala ogród prostokątny, w którym dwór okazały się znajduje, popołu na spichlerz i Dom Kolektywny przemieniony. W pobliżu dworu stajnia wspaniała, kiedyś w tuzin szlachetnych koni zasobna, dziś zapelniona bydłem domowym i nierogacizną.

Zaś na honorowym miejscu w stajni ciągnik stoi, „URSU-SEM” nazywany, bowiem siłę i moc niedźwiedzia posiada. Duma i chluba mieszkańców Pcimskiego Gospodarstwa Rolniczego.

Prócz stajni jest w ogrodzie altana nieduża, ale z pięknie rzeźbionego drewna wykonana. Na niej tabliczka, nieco już zardzewiała, wzrok przechodzących przyciąga słowami: „I Dom Dziecka w Pcimskim Gospodarstwie Rolniczym urządzony, imieniem Wielce Szacownego Pana Sobola nazwany”.

Brama na oścież otwarta wejścia do ogrodu strzeże, strasząc zardzewiałymi rurkami, w przedziwne esy floresy powyginanymi.

Zaraz za murem, blisko zachodniej ściany lasu czworaki, dawno temu, na Ziemianina zlecenia pobudowane. Dziś naród wyzwolony tam zamieszkuje, opozycją niekiedy nazywany. Nie zawsze i nie ze wszystkiego zadowolony, cichy jednak i spokoj-

ny, w Pcimskim Gospodarstwie Rolniczym ochoczo i wydajnie pracujący.

A już w lesie, z dala od innych zabudowań dom nowy został zbudowany. Niedawno tu stanął i naród spokojny swym obmierzłym widokiem drażni. Herman tam mieszka. Człowiek młody jeszcze, ale już nowym trendem zarażony.

Zaś po drugiej stronie drogi rozciągają się piękne i malownicze, zasobne w żyto, pszenicę i inne dary Ziemi pola Pcimskiego Gospodarstwa Rolniczego. Plonami z tych pól mieszkańcy wioski zawsze dzielą się, nie równo, ale przecież sprawiedliwie; każdemu wedle potrzeb. A powszechnie wiadomym jest, kto ma największe potrzeby, przeto podział plonów nigdy dyskusji nijakiej nie podlega.

Tymczasem krowy, które poranek rozbudził głośnym rykiem i zawodzeniem zawiadamiały o tym, że mleka są pełne, które noc całą produkowały, że cierpią okrutnie i że czas jest najwyższy ku temu, by ulżyć ich niedoli usuwając nadmiar zdrowego i życiodajnego płynu w ich wnętrzach zalegającego.

Kogut stary, pamiętający najdawniejsze, pełne chwały dni Gospodarstwa, siły nie mając, by na drewniany, niegdyś zapewne piękny, lecz dziś już krzywy i dziurawy płot wskoczyć, oparł się o sterzącą sztachetę i zachrypniętym głosem informował okolicę o wstającym dniu. Wtem zaciął się, zachrypiał, machnął lekceważąco skrzydłem i wlaźł do kurnika, by raz jeszcze sprawdzić, czy liczba kur, na dzień dzisiejszy pokrywa się z rachunkiem z dnia poprzedniego.

Mieszkańcy wioski przeciągali się leniwie w swoich posłaniach, niechętnie zaspane oczy otwierając i zastanawiając się, czy warto z łóżek powstawać, skoro i tak nic ciekawego się nie wydarzy? Już od lat wielu nic ciekawego nie działo się w ich wiosce. Żyła ona sobie cicho i spokojnie, z dala od wielkich miast, ich gwarów i krzyków. Samotna i zapomniana, żyła własnym, leniwym życiem, czasami tylko wspominając czasy wiel-

kich rewolucji, wojen i zmian wszelakich. Dni, kiedy odbierano ziemię bogatym i oddawano biednym, na krótko czyniąc z nich bogaczy. Wspaniałe chwile, kiedy rozliczano się z wichrzycielami i reakcjonistami.

Ale, kiedy już ze wszystkimi się rozliczono, odebrano, co było do odebrania, winnych ukarano, niewinnych zrehabilitowano, nadeszły czasy ciszy i zastoju.

Raz tylko zachwiana została nudna cisza Pcimskiego Gospodarstwa Rolniczego, kiedy to, niespodziewanie przybył do wioski duchowny, by wziąć pod swe opiekuńcze skrzydła miejscową parafię, zaniedbaną okrutnie. Dziwny to był człowiek i tajemniczy bardzo. Z Sobolem się zaprzyjaźnił. Czworaki często odwiedzał. Wieści ze świata przekazywał; o zmianach wielkich opowiadał, które w kraju i we świecie następować poczęły. Ale, jak wiadomo, jedna jaskółka rewolucji uczynić nie zdoła, przeto i Rabka w pojedynkę zdziałać niczego nie mógł, chociaż ludziom we łbach namieszał okrutnie. Z czasem jednak wszyscy do księdza przywykli, przez co stał się tak samo nudny i nieciekawy, jak każdy, kolejny dzień w Pcimskim Gospodarstwie Rolniczym przepędzony.

W taki właśnie nudny, jak każdy inny dzień, z głośnym hukiem i łomotem, wzniecając tumany pyłu i kurzu przejechał przez wieś nieznanym nikomu pojazd. Minął czworaki, minął dwór z cegieł zbudowany, po czym skręcił w prawo i wjechał do sadu. Tam warknął, kaszlnął i zatrzymał się, robiąc jeszcze przeciągłe wrrrr! I na samym końcu krótkie, rzeczowe sap!

Z pojazdu owego wyskoczył młody mężczyzna, rozejrzał się po zaniedbanym sadzie, z lubością wielką spojrzął na połamane gałęzie drzew, na trawę wysoką, od dawna nie koszoną, po czym, w radosnych podskokach do murowanego budynku się przybliżył. Z bliska obejrzał drzwi obdrapane, z lekka zębem czasu i kornika nadgryzione, podumał chwilę, z ręką nad klamką zawieszoną, za czym cofnął się, na drogę powrócił i w ta-

kichże samych radosnych podskokach do ogrodu pocałował. Przeszedł przez bramę szeroko otwartą, minął altanę, na Dom Dziecka przemienioną, minął dwór okazały i w tanecznym pląsie ku stajni swe kroki skierował.

Lza mu się w oku zakręciła. Wszak tutaj się wychował. Na tym klepisku, pośród szlachetnego bydła domowego i nierogacizny stawiał swe pierwsze, niezdarne, pacholące kroki. Patrzył z sentymentem na brudne ściany, które znał doskonale, a które, przez czas jego nieobecności zmianie nijakiej nie uległy. Też same pajęczyny w rogach, pod sufitem. Ta sama, jakżeż dobrze znana plama na środku powały. Na ścianach kurz i bród, taki sympatyczny, swojski...

Szedł wzdłuż boksów, zaglądając to tu, to tam, czasy dzieciństwa wspominając. Z zainteresowaniem wielkim przyglądał się sympatycznym, młodym ryjkom, z lubością wspominając te stare, równie sympatyczne ryje, które już na zawsze ze świata tego odeszły, ale na wieki w sercu jego i pamięci zapisane zostały. A tam, na samym końcu długiego korytarza, w tył nieco cofnięty znajduje się najważniejszy boks. Boks, który, dzieckiem będąc jeszcze, najbardziej sobie upodobał.

Tam właśnie, grzejąc się w cieple sympatycznego knura, przeglądał swe pierwsze, z trudem wielkim zdobyte komiksy, kiedy go nikt nie widział i do roboty nijakiej nie gonił. Przyspieszył zatem kroku, by jak najprędzej w swym miejscu ulubionym się znaleźć.

Wszedł do środka i zamarł. Nie było wątpliwości, tu wszystko zmianie ulec musiało. Nie było już starego, sympatycznego knura, którego obraz miał wciąż przed oczami. Miast przyjaciela starego i wiernego druha w boksie pyszniła się i rozpychała krowa łaciata i wielka. Prócz krowy, dumnie i nieprzychylnie na intruza patrzącej ktoś musiał w tym miejscu, przed chwilą zaledwie przebywać, czego dowodem były bańki mlekiem wypełnione i lekko chwiejące się krowie wymię.

Przez chwilę Tomasz rozmyślał wzburzony, któż śmiał miejsce jego w stajni zająć i dla siebie przysposobić, kiedy niespodziewanie całkiem jęk jakiś dziwny usłyszał, z głośnym brzękiem i łomotem przemieszany. Zaciekawiony z boku wyjrzał i ujrzał obrazek dziwny nieco, acz wielce zajmujący. Oto dziewczę młode, o jasnych jak słoma i jak słoma w nieładzie sterczących we wszystkie strony włosach, w brudnej zapasce i drewnianych chodakach na nogach siedziało w kałuży mleka, a dookoła, z brzękiem i łoskotem bańki, już puste się toczyły.

Ujrzawszy nieznanego panna rumieńcem spłonęła aż po same białka oczu. Znać, że w takim stanie i w takiej pozycji żaden mężczyzna jej dotąd nie oglądał. Skonfundowana prędko poczęła gramolić się z kałuży, po czym, chlapiąc dookoła mlekiem ściekającym jej po spódnicy, ze stajni wybiegła i w ogrodzie zniknęła, tupiąc po drodze drewnianymi botami.

Tomasz stał chwilę długą, zastanawiając się, kim też mogła być oglądana przed chwila piękność?

Oczywista, nie uszedł uwadze mieszkańców wioski fakt, iż ktoś obcy pojawił się w okolicy. Już zebrali się przed domem Sobola i w zadziwieniu wielkim pojazd, w drodze ukurzony oglądać poczęli. Wszak czegoś takiego w ich wiosce nigdy dotąd nie było.

Również do Wakara wiadomość o przybyciu obcego dotarła. Wyskoczył zatem prędko z pościeli i w pośpiechu wielkim odziewać się począł, zaniedbawszy całkowicie porannej toalety. Zresztą nie było w jego obyczaju myć się nazbyt często, gdyż wiedział doskonale, że mydło jakości marnej skórę podrażniać zwykło, zaś twarda woda nadmiernie ją wysuszać lubiła. I chociaż dziwnym mu się zdawało, że woda wysuszać cokolwiek może, bardzo starannie przestrzegał tego, by skóra jego zawsze tłusta i wilgotna była.

Właśnie Tomasz z czołem zachmurzonym stajnię opuszczał, kiedy ujrzał nadbiegającego z oddali mężczyznę. Wakar, bo on to był właśnie, mimo podeszłego wieku i postępującej sklerozy rozpoznał gościa i biegł mu na spotkanie. Nie zauważył jednak korzenia, który z ziemi wystawał, zaczął potknął się, a rozkrzyżowawszy szeroko ramiona, tak iż zdawać się mogło: świat cały chce do piersi przygarnąć, runął na ziemię jak długi, jękąwszy przy tym okrutnie. Tomasz, uczynny i zawsze chętny do pomocy prędko przyskoczył do starca, dłoń mu pomocną podając. W ten sposób dźwignął się z upadku dopomógł. A kiedy już mężczyzna otrząpał ręce i ubranie przywitali się serdecznie, gdyż lat kilka się nie widzieli.

– Dobrze, mój Tomaszu – rzekł ze wzruszeniem Wakar – żeś wreszcie do nas powrócił. Od dawna cię tutaj oczekujemy. A dzisiaj właśnie, na popołudnie, stryj twój zarząd kolektywu do siebie zaprosił i przyjęcie zgotował. Przed zjazdem jeszcze trza nam ustalić, co z naszym pcimskim gospodarstwem czynić się nam należy. A wiesz przecie, że potośmy wysłali ciebie na nauki do stolicy, byś zarząd po stryju mógł przejąć i właściwie gospodarować, jako godny następca stryja swojego. Pójdź zatem do domu, odśwież się i odpocznij po trudach, długiej przecie podróży. Biesiada wkrótce. Dobrze byś umysł miał jasny i bystry.

Zaczyn wziął gościa pod ramię, by znów się nie wywrócić i razem, wolno ku bramie ruszyli, dawne czasy wspominając po drodze.

Sobol właśnie się zbudził. Wierzchem dłoni zaspane oczy przetaił, w okno spojrział, a za oknem dzień stał w pełnym rozkwicie. Ptaki śpiewały swoje pieśni, psy szczekały, krowy muciły i wszelka żywina odzywała się głosem sobie tylko wiadomym i dla siebie zrozumiałym. Zatem i Sobol uznał, iż z łoża powstać należy, odziać się i powitać kolejny, letni dzień.

Zwłaszcza, że na popołudnie goście byli do domu jego zaproszeni, by sprawy ważne omówić. Przy tym denerwował się nieco, gdyż depeszę do stolicy, do bratanka swego dawno temu już wysłał, wzywając go do powrotu, a odpowiedzi nijakiej do dnia dzisiejszego nie otrzymał. Jak zatem przedstawić Tomasza jako godnego siebie następcę, skoro ten do domu nie wraca? Tak rozmyślając odział się w odświętny swój garnitur i do śniadania zasiadł, bacząc przy tym uważnie, by odzienia swego grysiem nie zachłapać, gdyż wstyd byłby wielki wystąpić pośród tyłu gości w poplamionym ubraniu.

Kiedy już posiłek zbliżał się ku końcowi, ruch jakiś wielki uczynił się przed domem jego. Znać, że kogoś radośnie witano. Powstał zatem od stołu i ku oknu pospieszył, by osobiście sprawdzić kogóż to z tak wielkim wrzaskiem przyjmują? Radość wielka w sercu jego się obudziła, gdy na trawniku przed domem ujrzał Tomasza we własnej osobie. To niespodzianka! To szczęście wielkie, że tak ze swoim przyjazdem utrafił! W pierwszej minucie chciał oknem wyskoczyć, by czym rychlej bratanka swego pochwycić w ramiona i serdecznie uściskać. Zmiarkował się jednak i po krótkim namyśle zrezygnował z tego zamierzenia. Wiek jego i odzienie odświętne z takim zachowaniem nie licowały. Dostojnie zatem plecami do okna się odwrócił i dumnym krokiem izbę opuścił, wysoko przy tym łysą swoją głowę zadzierając.

Zdeptanej i stłamszonej nogami oraz przygniecionej kołami samochodu trawie przed domem Sobola obojętnym już było, kto po niej chodzi. I tak siły nie miała, by dźwignąć się na powrót. Leżąc na płasko przy ziemi ani drgnęła, kiedy następne dwie stopy, w ciężkie trzewiki obute deptać ją poczęły, podskakując i przytupując na przemian. Stryj nader serdecznie przywitał Tomasza. W krótkich podskokach, jako że był dużo od niego niższy, złożył trzy ojcowskie pocałunki na czole bratanka swego, następnie, za rękę go pochwyciwszy, do izby prowadził,

odsyłając wcześniej, do zadań im przydzielonych ludzi zebranych przed domem swoim.

– Ach, Tomaszu! Ach, jak dobrze! – wykrzykiwał nad głową siedzącego młodzieńca. – Ale czemuś nie depeszował?! Wszak powitanie byśmy ci zgotowali, ciebie godne, tobie należne! Czemuś mię nie powiadomił?!

– Niespodziankę stryjowi uczynić pragnąłem – odparł Tomasz z lekka poziewując. – Jeżeli stryj pozwoli, rad bym się zdrzemnął drobinę. Szmata drogi poza mną i cały czas za kierownicą siedziałem. Ani chwili wytchnienia. Oczy stale szeroko otwarte, umysł rozbudzony, myśl czujna. Wszak pojazd taki, to rzecz niebezpieczna. Szkody dużo uczynić może, gdy się go nie upilnuje.

– Tak, tak, mój chłopcze. Tak, tak. Pójdź za mną, wskaż ci posłanie. Wypocznij nieco. Na biesiadę goście zaproszeni, musisz być wypoczęty. Tak, tak, mój Tomaszu! – Zawiódł go do izby, uczepiwszy się pierwszej jego ramienia, po drodze sprawy Pcimskiego Gospodarstwa Rolniczego mu wyłuszczając. Tomasz słuchał przez grzeczność, lecz już nie bardzo wiedział, o czym stryj jego rozprawia. Oczy mu się kleiły, nogi ledwo po ziemi sunęły. Nareszcie padł na posłanie, odzienia swego nie zdejmując i usnął snem sprawiedliwym i zasłużonym.

Pracownicy Pcimskiego Gospodarstwa Rolniczego, posłuszni rozporządzeniom swego dyrektora powrócili do swych zajęć codziennych. Ale że Sobol, jako dobry gospodarz, przykład swym postępowaniem dający nigdy zbyt w pracy się nie przemęczał, przeto i inni zbyt się nie trudzili. Każdy na swoim wyznaczonym odcinku pracy robił co mógł, by nic nie robić i aby inni myśleli, że robi wiele.

Tymczasem Wakar, zdążający właśnie do stajni, by osobiście udoju dopilnować, nie bacząc na to, iż cokolwiek się ze swoim

nadzorem opóźnił, przechodząc mimo Domu Kolektywnego dostrzegł w nim ruch jakowyś, dotąd niespotykany. W tym więc kierunku kroki swoje skierował, wizytę w stajni na potem odkładając i mocno zadziwiony ujrzał Prota, który z przejęciem wielkim stoły w Sali lustrzanej obrusami nakrywał, talerze na stołach ustawiał, krzesła z kurzu oczyszczał i nowe żarówki w stary żyrandol wkręcał.

– A cóż to woźny za brewerie wyprawia?! – spytał głosem mocno wzburzonym.

– A to, mości wicedyrektorze, że gości godnie przyjąć się należy. Przeto pozwoliłem sobie, tutaj przyjęcie wyszykować. Zwłaszcza, że pan Tomasz do nas zawitał nareszcie. Godzi się, by na własne oczy zobaczyć, co objąć ma w swe posiadanie.

Wakar nie był zachwycony inicjatywą woźnego. Wszak to jemu prawo do wykazywania inicjatyw należne być powinno. Skrzywił się zatem na twarzy i rzekł:

– Cóż, czyn, coć się należy, lecz pamiętaj, że za moją to wiedzą i przyzwoleniem czynisz.

– Tak jest! – Woźny odpowiedział, nawykły już do tego, że przełożeni wszelkie splendory na siebie przyjmować zwykli.

Wakar ponury, izbę opuszczając, rozejrzał się jeszcze po ścianach brudnych, parkiecie uszkodzonym i pomyślał o tym, jaki to piękny dwór był kiedyś, kiedy jeszcze Ziemianin w nim zamieszkiwał. Ale Ziemianin, wyroku uniknąć pragnąwszy, zbiegł z Pcimia lat temu piętnaście i nigdy doń nie powrócił. Dwór, słusznie, nakazem władz miejscowych Sobolowi pod zarząd został oddany, wraz z ziemią całą i służy teraz miejscowej ludności. Ale już tam Herman, krewny Ziemianina daleki, zęby sobie na dwór i całą posiadłość ostrzy i własność ludową sobie przywłaszczyć zamieruje. Zdaje mu się, że tak łatwo dobra do ogółu należące dla siebie zagarnie. Młody jest, toteż w umyśle jego takie się niemądre myśli wylęgają. Zda mu się, że sam jeden świat zawojuje i zdoła go odmienić.

– Słusznie woźny uczynił salę lustrzaną na przyjęcie gości przysposabiając – rzekł Sobol u szczytu stołu siadając. Z racji piastowanego stanowiska miejsce tak zaszczytne jemu właśnie przysługiwało.

Wakar skrzywił się, słowa te usłyszawszy. Rad by sam, takie pochwały od pryncypała przyjmować. Cóż, Prot go uprzedził, z losem pogodzić się trzeba. Siadł smętny na wskazanym mu miejscu i w talerz pusty się zapatrzył.

Tymczasem goście schodzić się poczęli i w porządku za stołem zasiadali.

Zatem Tomasz przy stryju swoim usiadł, by w razie potrzeby osobą swoją mu służyć. Jednak, na życzenie stryja miejsce puste pomiędzy nimi zostało, z powodów Tomaszowi nie znanych.

Dalej ksiądz Rabka szacownie się umieszcł i na Tomasza kątem oka popatruje. Przy nim Rybka, komendant Straży Wiejskiej, porządku i ładu dzielnie pilnujący miejsce zajął.

Tudzież Wakar, wcześniej wymieniony, smutny i zadumany, wzroku nie podnosi talerz, ornamentem złotym zdobiony podziwia. Adam i Roman, poplecznicy Sobola, dzielni brygadziści w końcu stołu się usadzili i dyskusję wielką rozpoczęli. O czym? Tego nikt nie wiedział, gdyż słów mocno zawitych używali.

Zaś całą przeciwną stronę stołu Pankracy, naczelnik miejscowej poczty, wraz ze swoją liczną rodziną zajął. Córki jego nadobne rumieńcem się oblały, nieśmiało spod opuszczonych powiek na Tomasza spoglądając. Lecz jemu nie wydało się możliwym, by pośród nich odnalazł tę, z którą rano we stajni się zetknął. Z tego też powodu przestał zwracać na panny uwagę, coraz częściej na puste krzesło popatrując. Myśl jego tylko owa panna zaprzęta. Rad by stryja o nią zapytać, lecz nie śmie. Stryj gniewać się może, że panny mu w głowie, miast Gospodarstwem zarządzanie. Jednak wspomnienia i obrazu dziew-

czyny z umysłu swojego usunąć nie potrafi.

Podano jedzenie, alkohol podano, ale Tomasza nic nie raduje. Smutny i zadumany, z czołem zachmurzonym, to na puste krzesło, to na drzwi szeroko otwarte popatruje. Aż się Pankracy oburzył, że przyszły dóbr pcimskich zarządca na córki jego uwagi nijakiej nie zwraca.

Sobol, chcąc nietakt bratanka zataić rozprawiać począł o jego bytności w stolicy.

– Młodzież tera jest inna, anizeli drzewiej bywało. Tera jeden z drugim, ze świata wielkiego powróciwszy myśli, że panem wielkim jest na tej Ziemi, grzecznością i kulturą pogardzając, nie przymierzając, jak imć pan Herman. Ale mego Tomasz pewnie to nie tyczy. Przecie czegoś tam we stolicy go nauczyli. To nie podobna, by darmo pieniądze nasze kolektywne trwonione być miały. Wszak ci ważne nauki w mieście stołecznym miał pobierać i tuszę, że pobrał jak należało. Aleć nie grzeczności one tyczyły, jeno działań agrarnych.

Pankracy, ciut udobruchany poparł Sobola w tej wypowiedzi, lecz koniecznym uznał i swoje zdanie przedstawić, choć zgola innego tematu ono dotyczyło.

– A mnie się zdaje, bo zdawać się musi, że wycieczki takowe, w odległe strony nie zawsze bezpiecznymi bywają. Wszak już i do nas wieści dotarły o nowym trendzie, w miastach dużych się szerzącym. Niebezpieczne to zaiste są zmiany. Ponoć panowie, dawno temu wygnani, jako te mary senne nazad do kraju powracają i własność swoją na powrót ludowi odebrać pragną. Widziane to rzeczy? To, co dotąd własnością ogółu było: huty, fabryki, et cetera, robotnicy w swoje ręce chcą brać i zarząd nad nim sprawować. Dobro do ludu należące, lud ten chce sobie odebrać i na powrót swoją własnością uczynić, mówią „sprywatyzować”. Widziane to rzeczy? Ustawy, reformy, wszak ci ze stolicy takie nowe trendy przychodzą. Ejże! Panie Tomaszu! Czy i ciebie tymi nowymi modami we stolicy nie zarażo-

no?!

Tomasz spojrział na Pankracego, czoło jeszcze bardziej zachmurzywszy, zły, że z marzeń tak okrutnie go wyrwano i rzekł:

– Już ci, mój panie Pankracy, przyznać muszę, że i mnie, o moje wielkie uszy nowiny te się obily. Słuchałem ciekawie, bo też ciekawych rzeczy one dotyczyły. Ale, czym zarażony? Trudno samemu oceniać. Jedno tylko rzekę: to oto Pcimskie Gospodarstwo Rolnicze, gdy pod mój zarząd przejdzie kwitnąć będzie i pięknieć. Tak mnie nauczono.

Słyszac tak mądre słowa z ust Tomaszowych wychodzące Sobol uśmiechnął się radośnie. Inni biesiadnicy zaś „Brawo! Brawo!” zakrzyknęli. Tomasz zasię przemowę swoją kontynuował.

– Aleć wiem takóž, że nie takie znów głupie te nowe trendy bywają. Stolica nasza, w ręce prywatne sklepy i domy oddawając pięknieć poczęła i kwitnąć szczególnie. Kolorowo tam teraz, wesoło... Jenó ludzie smutniejsi się zdają. Portfele mając puste, niewiele z rozkoszy onych skorzystać mogą. Ale i to ma się zmienić. W rządzie powiadają, że już lada chwila, za lat kilkadziesiąt wszystkim będzie lepiej w naszej kochanej Rzeczypospolitej. Ufać i wierzyć nam się należy.

– Diablać tam, takie zmiany! – Wakar na to zakrzyknął. – Alboć nam źle w Gospodarstwie naszym?! Niech nam tutaj Tomasz trendem we łbach nie miesza! Przecie i Gospodarstwo nasze pięknie się rozwija. I Dom Kolektywny mamy i Dom Dziecka nie duży. Sklep przecie wspaniały. I inne dobra też posiadamy. A kolorów nijakich nam nie potrzeba! Kwiaty wiosną, a śnieg zimą, też są kolory ludu pracującego godne! My własny model barw i kolorów posiadamy! Prawda, księżę do-brodzieju?! – Tu Wakar do Rabki się odwrócił i paluch wielki w pierś jego skierował. – Wszak i ty we świecie wielkim bywałeś. Rzeknij choć słowo w tym temacie.

Ksiądz, spojrzawszy wokoło, kielich wznioł do góry i wy-

rzekł ta słowa:

– I owszem. Bywałem we świecie i takim dziwy tam oglądał, że trudno o nich wam opowiadać. Ale cóż nam do polityki? Co nas to obchodzi? Tera sprawy daleko ważniejsze winniśmy rozstrzygać. Dumać nad przyszłością Pcimskiego Gospodarstwa naszego nam się należy. A o zmianach w wielkim świecie zachodzących przy innej sposobności dysputę wieść będziemy.

– I ja tak uważam! – Rybka na to rzecze. – Tamte jakieś mody ze stolicy idące niechaj Hermana zajmują. On człowiek światowy. My ludzie prości, w zgodzie żyć winniśmy. Do waszci piję, panie Tomaszu, boś gościem tu dzisiaj najpierwszym!

– I ja tak samo! – Pankracy powstał i Tomaszowi pięknie się pokłonił. A kiedy kielichy do dna wychylono we drzwiach pojawiła się nowa persona. Pani w wieku poważnym, poważna na twarzy. Włos kruczoczarny, w kok ufryzowany. Suknia na niej zielona, w kwiaty czerwone zdobiona. Lekko stąpa we fioletowych pantofelkach i ku wolnemu miejscu kroki swe kieruje.

Tomasz patrzy i patrzy i pojąć nie może. Byłaby to ta sama osoba, którą rano przy krowach obaczył? Zdawać by się mogło, że twarz jej postarzała od rana nieco, włosy z czasem szedniały. Tamta jasne włosy miała. Może to słońca promienie tak je rozjaśniały? Cóż myśleć o nowym zjawisku należy?

Pani zaś siadając, miejsca pomyliła i z impetem ogromnym na kolanach Tomasza zasiadła, aż tamten jęknął, tak słodki ciężar poczuwszy. Lecz już jejmość z kolan jego się poderwała i na miejscu dla niej przeznaczonym spoczęła.

– Pozwól, Tomaszu, dawno cię nie było. – Sobol powstał i skłonił się damie. – Oto jest Tekla, dobrodziejka nasza. Niedgdyś dużo po świecie wojażowała, więc pewnie jej nie pomnisz. Ale, gdy dobro Gospodarstwa naszego tego wymagało, tutaj osiadła i Domem dziecka zarządzała. Dziś, gdy sierot u nas nie stało sklep nasz gminny w ajencję objęła i słusnie sobie w nim

poczyna. Szanuj ją, bo to ważna osoba.

Tomasz pięknie się pokłonił, szklankę z herbatą nowej swej towarzyszce podsunął i dyskusję grzeczną z nią rozpoczął. Z mowy i zachowania pani poznać było łatwo, że to światowa osoba. O wszystkim prawie umiała i w wielu sprawach miała rozeznanie. A w mieszkaniu swoim pamiątek mnóstwo przechowywała, które dawne lata jej przypominały. Dyskusję grzeczną wiodąc, co i rusz zaznaczała:

– Znam, znam. W domu moim przechowuję, jeśli pan zechce, mogę mu pokazać. To cenna pamiątka moja.

– Pani liczne zbiory w domu swoim posiadasz. – Tomasz grzecznie zauważył.

– A tak, posiadam. Wszak znana jestem z tego, że kolekcję założyłam. Przecie człowiek kulturalny hobby jakoweś posiadać powinien.

A na drugim końcu stołu, Adam i Roman, coraz zażarciej spór swój wiodą, coraz zacieklej się kłócą. O co? Nie zgadniesz, bo mową tak zawiłą się posługują, że trudno odgadnąć, co być by mogło przedmiotem ich sporu.

Zaś Sobol z Pankracym, mimo veta plebana nadal o politycznych sprawach rozprawiają.

– Mój panie Pankracy, co też ty opowiadasz?

– A to, mości Sobolu, że brat Czech, na Lecha, brata swego złym okiem spogląda. Nie w smak mu idą zmiany w kraju naszym zachodzące. Ale mówił mi pleban, że i u Czecha źle dzieć się poczyna. I tam ruchy jakoweś, modzie nowej hołdujące się rozpoczęły. Widziane to rzeczy?! A pono i z Rusem, bratem naszym drugim nie najlepiej się dzieje. I tam kłótnie i swary się rozpoczęły. A wszystko to przez naszych rodaków zapoczątkowane! Przeto Europa postępową niechętnie na kraj nasz spogląda, bo kto to widział rzeczy takie wyczyniać?!

– Przecie bracia kochać się powinni, zawsze się kochali. Ale i to dodać mogę, że starej naszej Europie trochę wiatru nowego

przydać się może, boć powietrze mamy już zastane. Cóż to komu szkodzi?

– Tak, tak. Aleć boję się, żeby co złego z tego nie wyniknęło. Wszak i u nas już opozycja szemrać poczynia. Herman ich judzi, a i kapelan, wieści nowe ze świata pochodzące głoszący do szemrania onego się przyczynia.

– Ksiądz wie, co robi. Mądra to głowa. Ulisses prawdziwy. Wie, jak sprawami kierować, by cel swój osiągnąć i nikogo nie ukrzywdzić przy tym.

Pankracy spojrzął na Sobolą zdziwiony.

– Dziwnie waszeć w komitywę z księdzem wchodzić począłeś. Kiedyś zgola inaczej księdza naszego starego traktowałeś.

– I ty nie lepiej! – Sobol się oburzył. – Sameś za wygnaniem księdza optował, a tera mi wypominasz?!

– Ja nie wypominam. Ja jeno zaznaczam. Baczenie na księdza dawać należy!

Córki Pankracego cicho chichotały, widząc jak Tomasz Tekli służy, jak się jej przygląda, przypodobać stara.

Rabka, czegoś nie kontent stale, przy wieczerzy Tomasza potrąca, w dyskusji przeszkadza i złym okiem patrzy. Aż Tomasz nareszcie tego nie wytrzymał.

– A cóż mnie też klecha bez przerwy potrąca?! Jeszcze mi do talerza wlezie! – zawołał i przycichł, nietakt zrozumiawszy. Przeprosił więc księdza i do dysputy z sąsiadką powrócił. Gryzła go jednak sprawa kapelana. Tomasz młodzieńcem był dobrze ułożonym, znał, co to honor, kultura, szacunek. Nie lubił uchybiać innym. Nie chciał, by i jemu uchybiano.

Niegdyś pragnienie miał wielkie, by zostać żołnierzem. Wiedział, że żołnierz uczyć się nie musi, a on przecie do nauk nijkich głowy nie posiadał. I to jeszcze w marzeniach go utwierdzało, że nie raz jeden przecie plakat słuszny czytał, na którym, jak byk stało napisane „Nie matura, lecz chęć szczerza zrobi z Ciebie oficera!”

Szczerych chęci mu nie brakowało, maturą więc się nie przejmował. I nie odstraszało go to, że czyjaś ręka na plakacie onym napis taki dołożyła „Nie pomoże i chęć szczerą zrobić z dupy oficera!”

Tymczasem stryj, opiekę nad nim, w zastępstwie ojca sprawujący postanowienie uczynił, by go do stolicy wysłać, celem pobrania nauk jedynie słusznych, by potem, w strony swe rodzinne powróciwszy zarząd nad Pcimskim Gospodarstwem Rolniczym mógł po nim przejąć. Cóż było robić? Chłopiec zawsze był posłuszny woli stryja swego. Do miasta stołecznego nauki pobierać pojechał. Powrócił do Gospodarstwa starszy o lat kilka i dużo mądrzejszy, tak bynajmniej on sam uważał. Inni różne zdanie na ten temat mieli.

Tomasz był przystojny, dobrze zbudowany. Rozumu miał niewiele, lecz nadrabiał siłą. To się pannom najbardziej w nim podobało. Tekla na równi z młodymi pannami podziwiała mięśnie jego, pod cienką koszulą ukryte, lecz widać, że mocno rozbudowane. Chcąc mu się przypodobać, nową rozmową zabawić go jęła.

Kiedy już temat książek różnych, malarstwa i rzeźby wyczerpała na bardziej sercu bliski się przerzuciła. O życiu na wsi prawić rozpoczęła. O tym, że nudno jej tutaj ogromnie. Pano wie nie obyci, na sztuce się nie znają. Panny nieciekawe. Z żadną zaprzyjaźnić się nie sposób, bo jeno chichoczą po kątach i drugich obgadują, miast dysputę rozsądną prowadzić.

A w drugim końcu stołu kłótnia coraz bardziej zagorzała. Sąsiedzi głos zabierają. Ci popierają Adama, tamci za Romanem stoją, chocia wcale nie wiedzą, co przedmiotem sporu być może, bo z mowy zawilej dwóch oponentów trudno cokolwiek wyrozumieć. Właśnie w kielichy nalano. Pankracy na ten widok kichnął siarczyście, nos rękawem obtarł i tym sposobem kłótnię załagodził, za czym wzniósł toast za zdrowie młodzieży, by zdrowo rosła i chlubę krajowi swojemu przynosiła.

– Wszak ci już dawno powiedzianym zostało, że takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie! – dodał, mowę swą zakańczając.

A kiedy wszystkim oczy kleić się poczęły ze zmęczenia wielkiego i każdy rad by się położył, Sobol przypomniał, po co się zebrali.

– Mości dyrektorze! – Wakar na to się odezwie. – Już znużenie czuję, czas spocząć w pościeli. Wszak okazji do dysputy będzie jeszcze wiele. A i bez tego wszyscy się zgodzimy, iż jedynym, godnym ciebie następcą jeno Tomasz nasz kochany być może, którego, natośmy we stolicy kształcili i naukę jego, z pieniędzy naszych kolektywnych opłacali, by zarząd po tobie przejął.

Pożegnawszy zatem serdecznie grzecznego gospodarza, goście do domów swych wracać poczęli. Także Sobol, wzięwszy pod ramię bratanka swojego, rad wielce do domu wyruszył. Ksiądz Rabka, ukontentowany wzrokiem szczęśliwym za nimi powiódł, po czym na plebanie wrócił.

Na miejscu woźny jeno się ostał. Jemu to bowiem przysługiwał zaszczytny obowiązek uprzątnięcia izby po wielkiej biesiadzie.

Jednak w miłym zaciszu dworu dawnego, miast czynić, co mu przysługiwało, w fotelu starym zasiadł, równie starą gazetę, jak księgę jaką świętą na kolanach rozłożył i dumanie rozpozął.

Nasamprzód o dniu dzisiejszym, o słusznej swej decyzji, co do przygotowania biesiady w tym oto Domu Kolektywnym rozmyślał. Potem, gdy ten temat go już znużył zamyślił się nad przeszłością ziemi rodzinnej, nad zmianami, jakie za jego kadencji tu zachodziły i nad tymi, które zająć jeszcze miały. Boć przecie już we czworakach opozycja, pierwiej cicho, a tera coraz głośniej gadać zaczyna o tym, żeby Ziemianin na dobra swoje

powrócił, że jego rządy lepszymi się zdawały. Na zachód coraz częściej spoglądają, plecami do wschodu słońca się obracając. A jak do tego doszło? O tym stara gazeta mówi. Stoi w niej, jak byk napisane, że ruch wielki, pierwiej na Pomorzu, a zaraz potem we stolicy się uczynił. Że robotnicy, rządy obaliwszy, sami się do rządzenia biorą. Tak mu Sobol to czytał!

I jakież sens w takim postępowaniu, skoro i przedtem rządy w rękach swych dzierżyli? Wszak powszechnie wiadomym było, iż w kraju rządy sprawuje klasa robotnicza. Kogóż zatem robotnicy obalili? Siebie samych? I jak tu się w tym wszystkim wyrozumieć?

A słońce, znużone całodzienną wędrówką po niebie, właśnie na spoczynek się udawało. Jako ten lud pracujący, który znużony był wielce bratnią przyjaźnią i rządami starymi, ku zachodowi ciążyło, by tam, w szczęściu i dobrobycie chwil parę odpocząć. Czerwony jego blask oświeślał jeszcze okolicę, ale już nie tak mocno, jak wprzód Ziemię ogrzewało.

Pomału, powolutku i ten blask rozgorzały zanikać począł. Jeszcze tylko kreska ognista nad szczytem lasu zaśniła, zadrgała i zgasła. I już ciemność zapadła i cisza dookoła.

Tomasz legł w posłaniu, znużony ponad miarę ilością przeżytych dnia mijającego wrażeń.

I Sobol snem kamiennym zasnął. Organizm jego, nie młody już przecie, snu długiego i wypoczynku się domagał.

Objaśnienia

Nie wiem, po co?

1. Tomasz

Syn Rabki, o czym nie wie. Wysłany poza granice Pcimia celem pobrania nauk jedynie słusznych, skąd powrócił niewiele mądrzejszy, ale trochę zarażony nowym trendem (fe!). Ma przejąć rządy.

2. Rabka

Brat Sobola, dawniej Januszem zwany. Ojciec Tomasza, o czym wie. Kochał się w córce Ziemianina, dostał kosza, ale kosz był pusty. Ze złości stał się zagorzałym działaczem kolektywnym. Odbierał ziemię bogaczom, odebrał i Ziemianinowi. Udał się na emigrację wewnętrzną skąd powrócił w habcie.

3. Sobol

Brat Rabki. Kiedyś był miejscowym sędzią, miał sądzić Ziemianina, ale mu nie wyszło. Przy poparciu brata swego objął rządy nad Pcimskim Gospodarstwem Rolniczym. Został jego dyrektorem. Patronował nowopowstałemu w ogrodowej altanie Domowi Dziecka.

4. Wakar

Zastępca Sobola. Chciałby wykazywać inicjatywę, ale mu nie wychodzi.

5. Tekla

Światowa dama. Często wyjeżdżała na delegacje kolektywne do sąsiednich republik. Kiedy znudziły ją podróże osiadła na

stałe w Pcimskim Gospodarstwie Rolniczym. Najpierw Domem Dziecka zarządzała, potem sklep w ajencję wzięła.

6. Prot

Woźny Domu Kolektywnego. Dbą o czystość i porządek. Pilnuje bramy, służy Sobolowi.

7. Rybka

Komendant Straży Wiejskiej

8. Pankracy

Dyrektor poczty. Ma trzy córki, stare panny.

9 i 10 Adam i Roman

Towarzysze kolektywni. Brygadziści Pcimskiego Gospodarstwa Rolniczego. Często się kłóć, ale nie wiadomo o co.

11. Zenia

Dojarka ręczna. Wnuczka Ziemianina, o czym nie wie. Wychowała się w Domu Dziecka, jako jedyne przebywające tam dziecko, przez co jest mocno kochana przez Teklę i Sobolę.

12. Herman

Daleki krewny Ziemianina. Urodził się i wychował poza granicami Pcimia. Powrócił do ziemi rodzinnej. Za namową Gro-ma chce odzyskać dobrego krewnego swojego. Literat, malarz, marzyciel.

13. Cymbał Janek

Lat piętnaście w podziemiu przesiedział, ulotki pisząc i rządy szkalując. Wielką miłość do kominów poczuł, które pozwalały mu ponad innych się wywyższać.

14. Ziemianin

Postać nieobecna, ale wielce ważna. Musiał, wraz z rodziną z Pcimia uciekać. Na miejscu pozostawił wnuczkę i sługę wier- nego – Groma.

15 Grom

Dawny zarządca Ziemianina. Sługa jego najwierniejszy. Miał się opiekować Zenią, ale nie zdołał. Judzi Hermana.

16. Michał

Karczmarz. Cichy rewolucjonista. O czym nie wie! W pod-ziemiu przechowywał Janka Cymbała oraz mięsiwo i gorzałkę.

17 i 18. Strażnicy Wiejscy

Służą wiernie każdemu panu, byle zysk na tym jakiś osią- gnąć.

19... itd.

Opozycja. Pracownicy Pcimskiego Gospodarstwa Rolnicze- go. Mniej lub bardziej przeciwni panującym rządóm.

Objaśnienia słów i zwrotów trudniejszych

solitudinem faciunt, pacem appellant –
gdy kraj obróć w pustynię, twierdzą, że przyniesli mu pokój

nomina sunt odiosa –
nazwiska są nie pożądane, nie należy ich wymieniać

prawem kaduka –
bezprawnie, bez podstawy prawnej

dictum, factum –
powiedziano, wykonano

nec Hercules contra plures –
i Herkules nie poradzi przeciw wielu

pro publico bono –
dla dobra publicznego

ubi ius incertum, ibi ius nullum –
gdzie prawo niepewne, tam nie ma prawa

In vino veritas! –
w winie prawda, wino rozwiązuje języki

pede poena claudo –
kara o kulawej nodze

ab intestato –
(dziedziczenie) bez testamentu

errare Humanum est –
błądzić jest rzeczą ludzką

ekspiacja –
pokuta, okupienie winy, zadośćuczynienie

mea culpa (mea maxima culpa) –
moja wina (moja bardzo wielka wina)

Pardon –
przebaczenie, darowanie winy

clara pacta, claros faciunt amicos –
jasne układy tworzą wiernych przyjaciół

Ergo bibamus! –
Pijmy więc!

Dyspensa –
zwolnienie od obowiązku stosowania określonego przepisu
kościelnego
(dotyczącego np. przeszkód małżeńskich)

konterfekt –
portret, wizerunek, podobizna

Spis treści

Dzień Pierwszy	8
Pcimskie Gospodarstwo Rolnicze	
Dzień drugi.....	28
Dom Kolektywny	
Dzień trzeci	48
Opozycja	
Dzień czwarty	69
Strajk	
Dzień piąty	88
Układy	
Dzień szósty.....	104
Rok... (a kto te lata spamięta?)	
Dzień siódmy.....	124
Kochajmy się!	
Ostatni zjazd Kolektywu	124
Epilog	138
Pcim, pięć lat później	
Objaśnienia	140
Nie wiem, po co?	
Objaśnienia słów i zwrotów trudniejszych.....	143



Moje motto życiowe brzmi:

"Zielono mam w głowie i fiołki w niej
kwitną
Na klombach mych myśli sadzone za
młodu.
Pod słońcem, co dało mi duszę błę-
kitną
I które mi świeci bez trosk i zacho-
du(...)"
/K. Wierzyński/

Urodziłam się 3 stycznia 1962 roku w Bogucicach. Podobno była to środa. Zatem urodziłam się trzeciego dnia tygodnia, trzeciego dnia miesiąca oraz trzeciego dnia roku! Takie moje trzy po trzy!

Imiona, nie wiedzieć czemu odziedziczyłam po cesarzowej Austrii: Marii Teresie, która podobno była bardzo mądrą kobietą. Zatem imiona odziedziczyłam. I mam wrażenie, że to wszystko!

Przez dwadzieścia dwa lata mieszkałam w Katowicach, potem na piętnaście lat przepadłam w Tychach, by wreszcie w sierpniu 1999 roku przeprowadzić się do Czechowic-Dziedzic i mam nadzieję, już tutaj pozostać na całą moją wieczność.

Od zawsze pisałam opowiadania oraz różnego rodzaju wspomnienia. Sporadycznie wiersze (trochę się ich uzbierało). Ale najbardziej interesują mnie ludzkie losy przeplatane historią. Samozwańczo nazywam siebie kronikarzem dziejów.

W latach 2000-2002 współpracowałam z lokalną gazetą Życie Czechowic-Dziedzic. Sporadycznie pisałam artykuły do Dziennika zachodniego oraz do miesięcznika Śląsk.

W maju 2007 roku podczas tygodnia bibliotek miałam swój wieczorek poetycki.

W 2011 roku własnym sumptem wydałam książeczkę wspomnieniową pt: "Ulice mojego miasta". o czym można przeczytać na Czecho.pl, [lubimy czytac.pl](http://lubimy.czytac.pl) oraz we wrześniowym numerze miesięcznika Śląsk z 2011 roku.

Ponieważ postanowiłam, że będę żyła wiecznie, mam nadzieję, że moje zamiłowanie do pisania czegokolwiek nigdy nie przeminie!